



R Dziedzictwo dawnej Rzeczypospolitej

Dodatek edukacyjny dla dzieci i młodzieży w ramach Magazynu Historycznego „Mówią wieki” o dziedzictwie kulturowym dawnej Rzeczypospolitej

Szwed na polskim tronie

Zygmunt III Waza był jednym z najdłużej panujących władców Polski. Zimnokrwisty królewicz jeszcze jako młodzian przybył nad Wisłę, by objąć schedę po jagiellońskich antenatach. Tron Rzeczypospolitej zawdzięczał tyle zabiegom ciotki Anny Jagiellonki, która zrobiła wszystko, by wprowadzić szwedzkiego synaczka na Wawel, ile zręczności i wojskowym umiejętnościom kanclerza i hetmana Jana Zamoyskiego. Zygmunt rozpoczął rządy niezbyt fortunnie. Wiele jego decyzji zrażało polskich i litewskich poddanych, czego efektem była wojna domowa. Monarcha wygrał co prawda to starcie, ale nie udało mu się przeforsować tak potrzebnych krajowi reform. Jednak ani ówczesnym, ani potomnym czasy panowania Zygmunta III i Władysława IV nie mogły się kojarzyć z upadkiem. Przeciwnie. Rzeczpospolita za jego rządów zdawała się sięgać zenitu potęgi. Jej wojsko biło sąsiadów w walnych bitwach, choć wojny nie zawsze udawało się wygrywać. Symboliczne jest zdobycie carskiej korony dla królewicza Władysława, pogrom Szwedów pod Kircholmem czy batalia pod Chocimiem, w której Polacy, Litwini oraz Kozacy powstrzymali turecką nawałę, i pogrom Rosjan pod Smoleńskiem. Jednak cieniem na tych zwycięstwach położyła się utrata Inflant czy okupacja portów pruskich przez wojska szwedzkie.

Wielkie i bezustanne wojny toczą się na peryferiach rozległego kraju, który korzysta ze spokoju i gospodarczej prosperity. Na szkudach i tratwach spływa zboże oraz inne produkty rolne i leśne. Bogacą się szlachcice, mieszczenie, nawet chłopci, a zwłaszcza gdańscy kupcy. Dowodem tego są liczne spichrze na zboże wyrastające nad brzegami Wisły oraz wielki ruch budowlany. Powstają budowle już w nowym, barokowym stylu. Wydawało się, że czas spokoju potrwa jeszcze długo. Okazało się to złudne, a nawarstwiający się nierozwiązane problemy wybuchły w sposób niespotykany w połowie XVII stulecia.

Wojciech Kalwat

Projekt dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Promocja literatury i czytelnictwa – Czasopisma



Spis treści

Tomasz Bohun

**Srebrny wiek:
Rzeczpospolita
w pierwszej połowie
XVII stulecia** II

Michał Kopczyński,
**Rezydencje jaśnie
oświeconych** V

Bartłomiej Gutowski,
Wojciech Kalwat
**Manierizm,
czyli prawie barok** IX

Jarosław Dumanowski,
**Barok w kuchni
– tajemnice najstarszej
polskiej książki
kucharskiej** XII

Wojciech Kalwat
Sanktuaria XIII

Anna Straszewska
Panowie kontuszowi XIV

Wojciech Kalwat
Sarmata w podróży XVI

Srebrny wiek: Rzeczpospolita w pierwszej połowie XVII stulecia

Ponad 60 lat, w czasie których na tronie Rzeczypospolitej zasiadał Zygmunt III Waza, a następnie jego syn Władysław IV, to kluczowy moment w jej dziejach. Po wieku złotym, epoce ostatecznego ukształtowania się instytucji ustrojowych państwa polsko-litewskiego i osiągnięcia przez nie statusu hegemonu w środkowo-wschodniej Europie, nastąpił wiek srebrny.

Na przełomie XVI i XVII wieku wydawało się, że kondycja Rzeczypospolitej jest jak najlepsza: jej sytuacja wewnętrzna oraz pozycja na arenie międzynarodowej niewiele różniła się od tej z czasów ostatnich Jagiellonów czy Stefana Batorego. A jednak. Konflikty społeczne, które wynikały nie tylko ze strachu szlachty przed *absolutum dominium*, ale także ze wzmagającej się kontrreformacji, narastający kryzys gospodarczy związany ze stagnacją w handlu europejskim, a przede wszystkim seria wojen na kilku frontach, których finansowania nie mógł udźwignąć niewydolny system podatkowy, wskazywały na potrzebę reform. Pod tym względem panowanie Zygmunta III było czasem straconym. Wizje reformatorskie miał za to król Władysław, jednak poza częściową reformą armii, na innych polach jego wysiłki spętały na niczym.

O wpływie osobowości i charakteru władcy na losy państwa dobitnie świadczy przykład Zygmunta III. Wpływ na postrzeganie go przez szlachtę i magnaterię miał niewątpliwie skandal z początku panowania dotyczący niewyjaśnionych do końca rokowań z Habsburgami w sprawie cesji korony polskiej na rzecz arcyksięcia Ernesta. W następnych latach doszły oskarżenia o jego dążenia do władzy absolutnej (jednym z argumentów szlachty na rzecz tej tezy było potajemne wspieranie Dymitra Samozwańca i rozpoczęcie w 1609 roku wojny z Moskwą bez zgody sejmu).

Inna sprawa, że Zygmuntovi III brakowało osobistego uroku, a przede wszystkim umiejętności negocjacyjnych, dzięki którym mógłby przekonać oponentów do swoich planów i racji. W tej sytuacji każda wysuwana przez króla i regalistów propozycja reformy – czy to usprawnienia trybu sejmowania (podejmowanie decyzji w izbie poselskiej większością głosów), czy utworzenia stałej armii – była torpedowana przez opozycję. Pół biedy, jeśli konflikt toczył się w jeszcze cywilizowanych warunkach izby sejmowej.

Gorzej, gdy dochodziło do przelewu krwi, tak jak w czasie rokoszu Zebrzydowskiego w latach 1606–1608. Prawda, w bitwie pod Guzowem, która rozstrzygnęła spór między dworem a szlachecko-magnacką opozycją, ofiar było niewiele, ale jednak było to dla króla pyrrusowe zwycięstwo. Udało się spacyfikować przeciwników politycznych, ale trzeba było zapomnieć o reformie systemu parlamentarnego i w konsekwencji naprawie państwa. Jedynym zwycięzcą tego konfliktu była magnateria, która w następnych dekadach



Zygmunt III Waza,
rys. wg Jana Matejki,
fot. Towarzystwo
Przyjaciół Sztuk
Pięknych
w Krakowie



Władysław IV,
rys. wg Jana Matejki,
fot. Towarzystwo
Przyjaciół Sztuk
Pięknych w Krakowie

od solidnego przyłożenia Moskwićinom w dobrze przygotowanej i brawurowo przeprowadzonej kampanii smoleńskiej. Niestety, również on nie potrafił dogadać się ze szlachtą i podobnie jak ojciec oparł się na magnaterii, świadomej swoich celów, zwykle różnych od wazowskiego interesu czy racji stanu.

Pod względem skuteczności sejmowania panowania Zygmunta III i Władysława IV nie wyglądały tak źle: na 55 sejmów nie doszło do skutku tylko 11 (w latach 1597, 1600, 1605, 1615, 1637, 1639 i 1645), jednak za panowania tego drugiego miała miejsce niebezpieczna sytuacja: w 1639 roku – co prawda w interesie zarówno dworu, jak i opozycji – starosta sądecki Jerzy Lubomirski zgłosił indywidualny protest przeciwko prolongacie obrad sejmowych ponad zwyczajny termin sześciu tygodni. Wprawdzie nie było to klasyczne indywidualne *liberum veto* – po raz pierwszy obrady sejmu przed ich końcem zerwał w 1669 roku poseł Jan Aleksander Olizar – ale protest Lubomirskiego stanowił kolejny wyłom w procedurze parlamentarnej w kierunku nieograniczonej zasady zrywania obrad sejmowych.

Władysław IV, świadom niebezpieczeństwa eskalacji czynnika wyznaniowego w trwającej Europę wojnie trzydziestoletniej, próbował choćby rozpocząć dialog między swoimi rozróżnionymi w wierze poddanymi. Próbował łagodzić konflikty nie tylko między katolikami a innowiercami, ale także wśród protestantów. Jednak poza formalnym zapewnieniem wolności wyznania dla prawosławnych w wyznaczonych diecezjach i występowaniem na gruncie prawa wobec sporów międzywyznaniowych niewiele udało się mu zdziałać na tym polu. Miarą niepowodzeń w tym zakresie było fiasko głośnego spotkania, tzw. *Colloquium Charitativum*, katolików, luteranów i kalwinistów, do którego doszło w Toruniu na przełomie sierpnia

stanie się graczem samodzielnym, dyktującym warunki gry w zapasach politycznych.

ZWIASTUNY UPADKU

Jeśli chodzi o przełamanie nieufności *inter majestatem ac libertatem*, obiecująco zapowiadał się Władysław IV. Był ulubieńcem szlachty, ponadto swoje panowanie rozpoczął



Kapitulacja rosyjskiego dowódcy Michaiła Szeina pod Smoleńskiem, fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Husaria, fragment Rolki sztokholmskiej,
 fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie



i września 1645 roku. Można powiedzieć, że królowi wyobraźni nie brakło, ale polityka jego ojca, który nie zrobił nic, aby zachować w kraju pokój religijny w duchu konfederacji warszawskiej z 1573 roku, do minimum ograniczyła jego możliwości.

KRÓL I KOZACY

W pierwszej połowie drzemiącą siłą byli ukraińscy Kozacy i wspierana przez nich podnosząca się z upadku prawosławna metropolia kijowska. Paradoksalnie, jednym z czynników, który przyczynił się do przebudzenia religijnego i narodowego prawosławnych Rusinów, była zaaranżowana przez część hierarchii prawosławnej, Rzym, polski episkopat oraz Zygmunta III unia brzeska z 1596 roku. Akt ten doprowadził do rozłamu w państwie, bowiem przeciwstawiała się mu większość Rusinów, a przede wszystkim identyfikujący się z prawosławiem Kozacy. Na domiar złego w latach dwudziestych XVII stulecia na Ukrainę z sukcesem napłynęła druga fala osadnicza szlachty i chłopów z Rzeczypospolitej. W połączeniu ze wzrastającym ciężarem podatkowym i samowolą magnatów ukraińskich zaczęło to tworzyć mieszanekę wybuchową, która eksploduje w następnym pokoleniu.

Władysław IV, niewątpliwie świadom potencjału drzemiącego w ukraińskich mołojcach, zamierzył uczynić ich swoim głównym sojusznikiem w projekcie, który miał unieśmiertnić go w pamięci potomnych: wojnie z Turcją. Był to jego sprawdzony sojusznik: w 1618 roku mołojcka armia hetmana Piotra Konaszewicza-Sahajdacznego wsparła króla najpierw w czasie wyprawy do Moskwy po czapkę Monomacha, a trzy lata później pod Chocimiem w ramię w ramię z armią koronną broniła Rzeczypospolitej przed Turkami.

KROK OD KATASTROFY

Swoje panowanie Władysław IV rozpoczął od wojny, ale w sumie był to pokojowy czas. Królowi udało się unormować stosunki z, wydawałoby się, śmiertelnymi wrogami – Szwecją, do której praw się nie wyrzekł, i Moskwą, do której tronu pretensji rzekł się w pokoju polnowskim w 1634 roku. W latach czterdziestych XVII stulecia rozpoczął realizację bodaj najważniejszego swojego planu, czyli wojny z Turcją. Władysław IV upatrywał w niej niemałych korzyści dla siebie i Rzeczypospolitej. Realizacja idei krucjatowej, przeżywającej wtedy renesans w Europie, wzmocniłaby pozycję jego i kraju na arenie między-

narodowej. Pokonanie porty i chanatu krymskiego raz na zawsze zlikwidowałoby też zagrożenie na granicach południowo-wschodnich. Wykorzystanie w wyprawie tysięcy Kozaków ukraińskich – podobnie jak w epoce smuty moskiewskiej – uspokoiłoby napiętą sytuację na Ukrainie, gdzie w latach trzydziestych XVII wieku doszło do kilku krwawo stłumionych buntów kozackich.

Niestety, król nie zdołał przekonać do swoich pomysłów szlachty, która odmówiła sfinansowania wojny. Wydarzenia nabrały rozmachu dopiero w 1646 roku. Nasiliły się działania dyplomatyczne, które co prawda nie załatwiły problemu bieżącego finansowania zbrojeń, ale dały nadzieję na pokrycie kredytów, które król już zaciągnął. Władysław zwiększył rejestr kozacki z 6 do 12 tys. i dobroił mołojców. Jednak przyglądająca się temu szlachta zaprotestowała na październikowym sejmie. Zmuszono króla do przerwania zaciągów i rozpuszczenia wojska. Niestety, Kozaków nie dało się już rozbroić. W nocy z 19 na 20 maja 1648 roku Władysław IV zmarł, a kilka dni potem na Ukrainie wybuchło powstanie kozackie pod wodzą Bohdana Chmielnickiego, które rozpoczęło upadek Rzeczypospolitej. Wspólnego, wielonarodowego i wielowyznaniowego domu zbudować się nie udało, a konflikty nabrzmiewające od początku XVII wieku wybuchły z całą siłą w krytycznym dla kraju momencie: najazdu moskiewskiego w 1654 roku i potopu szwedzkiego z lat 1655–1660. Później było nie lepiej. Wojna domowa i rokosz Lubomirskiego, przy którym rewolta Zebrzydowskiego była igraszką, były smutnym dopełnieniem obrazu upadającej Rzeczypospolitej. □

Rezydencje jaśnie oświeconych

Tekst pochodzi ze zbioru *Węzły pamięci niepodległej Polski*, Kraków–Warszawa 2014, wydanego przez Fundację Węzły Pamięci, Muzeum Historii Polski i Wydawnictwo Znak, s. 657–661. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

Naonczas komornikami nazywano młódcz, których rejestr nie był zawarty, jedni przyjeżdżali, drudzy odjeżdżali, a było zacnych ludzi szlachty polskiej i wielkiej familiej, z których to Ich Mościów potym wiele senatorów ludzi wielce godnych było. Ci samowótó służyli, ale de proprio [z jednym własnym służącym, ale sami się utrzymywali], osobliwych sług swoich, powozy swoje, a niektórzy I[ch] M[oście] i dworzanów swoich chowali. Bywało jednak Ich MM. około czterdziestu, albo więcej, albo mniej.

Tymi słowami opisywał dwór wojewody krakowskiego Stanisława Lubomirskiego podstoli żytomierski Stanisław Czerniecki, autor najstarszej polskiej książki kucharskiej *Compendium ferculorum*, pełniący na tym dworze funkcję kuchmistrza. Przyjaciół bardzo wiele zawsze przy boku Jego Mości bywało, senatorów, urzędników powiatowych, dygnitarzów, między nimi i książęta niektóre były, którym jednak *ex humanitate honoraria co ćwierć roku dawano* [...]. Nawet jeśli opis Czernieckiego był przesadzony ku chwale chlebobdawcy, to nie ulega wątpliwości, że rezydencje magnackie odgrywały w dziejach szlacheckiej Rzeczypospolitej wielką rolę społeczną, polityczną i kulturalną. Ich znaczenie – jako ziemiańskich siedzib – w stuleciu XIX i pierwszej połowie XX wieku, choć istotne, było tylko babim latem ery wielkości.

OD ZAMKU DO PAŁACU

Na rezydencje magnackie patrzeć można pod różnym kątem. Dla historyka sztuki są to przede wszystkim budowle zmieniające się w rytm architektonicznych mód i stylów. Badacza dziejów politycznych interesują zaś osoby owe budynki zaludniające (i to nie tylko ich właściciele).

Ewolucję form architektonicznych rezydencji prywatnych można najogólniej scharakteryzować jako drogę od obronności do reprezentacji. Początków takich rezydencji w Polsce szukać należy u schyłku XIII wieku, w epoce odchodzenia do przeszłości ustroju prawa książęcego i jednoczesnego umacniania się pozycji Kościoła i możnowładztwa świeckiego. Pierwszy znany przywilej na budowę zamku wystawił Bolesław Wstydlivy dla wojewody krakowskiego Klemensa z Ruszczy w 1252 roku. Choć książęce regale na wznoszenie ufortyfikowanych budowli zostało w ten sposób przełamane, to aż po początek wieku XVI zarówno pod względem liczby, jak i rozmachu założeń dominowały zamki należące do monarchy (na ok. 150 zidentyfikowanych zamków ok. 1500 roku 80 należało do panujących).

Najwcześniejszymi siedzibami możnowładztwa świeckiego były tzw. gródki stożkowe; na nizinach budowano je na ziemnych nasypach, otaczano fosą i czasami wałem lub palisadą. Na szczycie nasypu ustawiano drewnianą lub

Zamek Krzyżtopór, rezydencja Krzysztofa Opalińskiego, fot. Wojciech Kalwat



murowaną wieżę mieszkalną, zwykle trójkondygnacyjną (przyziemie o charakterze gospodarczym, pierwsze piętro z izbami mieszkalnymi, drugie o charakterze reprezentacyjnym, strych zaś o funkcjach magazynu). Służyła zarówno jako dom mieszkalny, jak i miejsce ostatniego schronienia obrońców. Na terenach górzystych funkcję nasypu mogło przejąć naturalne wzniesienie. Koszt i czasochłonność wykonania powodowały, że na ich zamieszkanie stać było początkowo jedynie możnowładców. Dalsza ewolucja w wiekach XIV i XV (XV to okres nasilenia budowy prywatnych rezydencji obronnych) szła najpierw w kierunku wymiany drewna na kamień lub cegłę (na nizinach), poprzez poszerzenie założenia o ulokowany przy jednym z murów dom mieszkalny, by od schyłku wieku XV prowadzić ku stopniowemu zatracaniu się funkcji obronnych na rzecz reprezentacyjnych. Ten ostatni etap był przynajmniej w części pochodną pojawienia się na polach bitew artylerii, potrafiącej z łatwością burzyć nawet kamienne mury kurtynowe. Stąd w późniejszych założeniach obronnych pojawiać się zaczęły importowane z włoskiej myśli fortyfikacyjnej basteje, a potem bastiony. Zaznaczyć tu warto, że w czasie gdy możnowładztwo przenosiło się wprawdzie do budynków murowanych, a potem do pałaców, budowle starego typu budowano nadal, choć ich gospodarzami była teraz szlachta średnia. Na kresach południowo-wschodnich, wobec stałych najazdów tatarskich, drewniane lub murowane zamczki były koniecznością, a nie luksusem.

PAŁAC I FORTECA

Za najwcześniejszą polską monumentalną rezydencją niebędącą budowlą obronną uchodzi wybudowany w latach 1470–1480 zamek kasztelana krakowskiego Jakuba Dębińskiego w Dębnie. Funkcja reprezentacyjna dominowała, poczynając od przełomu XVI i XVII wieku, gdy włoscy architekci przenieśli na ziemie polskie wzorzec *palazzo in fortezza*. Przykładami takich rozwiązań były realizacje Santi Guccio (zamek Mirów w Książu Wielkim zbudowany dla biskupa Piotra Myszkowskiego oraz pałac w Baranowie Sandomierskim wzniesiony dla Leszczyńskich) oraz Macieja Trapoli, który nadał kształt okazałym zamkom w Łańcucie i Nowym Wiśniczu. Ten ostatni otoczył bastionowymi umocnieniami i wybudował efektowną barokową bramę wjazdową. Walory obronne Wiśnicza docenili w czasie potopu Szwedzi. Zająwszy go bez walki w 1655 roku, opuszczając, zniszczyli zamek, by nie stanowił oparcia dla wojsk polsko-litewskich. Znamienną ewolucję przeszedł od schyłku XVI wieku położony pod Przemyślem Krasieczyn. Początkowa kwadratowa forteca po jej nabyciu przez Marcina Krasickiego w 1597 roku zamieniła się w pełną czytelnych dla współczesnych znaczeń symbolicznych rezydencję z czterema wieżami (ozdobnymi, a nie obronnymi) o symbolicznych nazwach: Boska, Papińska, Królewska i Szlachecka, z mającą budzić szacunek i podziw gości bramą.

Inne przykłady *palazzo in fortezza*, w których funkcja obronna nie została jednak całkowicie zapoznana, to rezy-

Zamek w Nowym Wiśniczu, jeden z przykładów *palazzo in fortezza*, fot. Wojciech Kalwat



dencja Jana Zamoyskiego w otoczonym bastionowymi umocnieniami Zamościu, z którego oblegania zrezygnowali nawet Szwedzi w czasie potopu, oraz Żółkiew.

W połowie XVII wieku obronne rezydencje zaczynają się otwierać na otaczający krajobraz, powstają ogrody, jeszcze położone za umocnieniami, ale już stanowiące ważny element reprezentacyjnego założenia. Takie były Podhorce Stanisława Koniecpolskiego, przebudowane z fortecy w otwartą, choć otoczoną bastionami, rezydencję oraz wybudowany dla wojewody sandomierskiego Krzysztofa Opalińskiego przez architekta Wawrzyńca Senesa zamek Krzyżtopór, który jest najbardziej wyrafinowaną ze wszystkich staropolskich rezydencji prywatnych. Zaskoczeniu gościa służyć miało przeproczenie tyłu okien, ile dni w roku, urządzenie tyłu komnat, ile w roku tygodni, tyłu sal – ilu miesięcy, i tyłu baszt – ile ma rok kwartałów. Największym jednak zaskoczeniem miało być wielkie akwarium umieszczone w suficie jednej z sal. Zamek zrobił wielkie wrażenie na Karolu X Gustawie i Jerzym Rakoczym, którzy się w nim spotkali. Umocnienie bastionów do standardów militarnych zlecono Erikowi Dahlbergowi, któremu zawdzięczamy plan rezydencji. Wkrótce jednak Szwedzi opuścili Ujazd, niszcząc pałac, tak jak inne podobne budowle uznane za mogące mieć znaczenie militarne. Budowa Krzyżtoporu poważnie nadwyrężyła majątek inwestora, a jego następcy nie mieli środków, by podjąć się odbudowy. Rozkwit rezydencji magnackich nastąpił w epoce baroku, szczególnie od połowy XVII wieku, gdy stylistyczne wpływy włoskie skrzyżowały się z płynącą z Francji modą na efektowne założenia *entre cour et jardin* (między dziedzińcem a ogrodem), Najbardziej – poza królewskim Wilanowem – efektownymi rezydencjami w stylu francuskim były Krystynopol Franciszka Salezego Potockiego w powiecie sokalskim (1756–1761) i białostocka rezydencja Jana Klemensa Branickiego (Wersal Podlaski budowany w latach 1728–1771). Cechą charakterystyczną tych pałaców były paradne dziedzińce poprzedzane przeddziedzińcami wjazdowymi. Inspiracją Wersalem była oczywiście.

DWÓR

Powróćmy do osób zaludniających staropolskie rezydencje. Ustalenie liczby dworzan jest niemożliwe, choćby z tego względu, że wielkość dworu zależała od okoliczności. Dwór kurczył się na co dzień, by osiągać liczbę kilkuset osób w momentach szczególnie ważnych ze względów reprezentacyjnych: podczas elekcji królewskich, sesji sejmowych i sejmikowych, uroczystości. Próba oszacowania zaludnienia rezydencji na podstawie rejestrów podatku pól głównego (1662, 1673, 1674 i 1676) daje wyniki rozczarowujące i chyba fałszywe, jak wynika z konfrontacji nie tylko z opisami, ale również nielicznymi zachowanymi rachunkami. W 1662 roku największy – liczący ponad 400 osób – był dwór Jana „Sobiepana” Zamoyskiego, ale zajrzenie w spisy mieszkańców wsi położonych pod Zamościem i wchodzących w skład zamojskiej ordynacji ujawnia liczną grupę szlachty posesjonatów tam mieszkających lub dzierżawiących poszczególne wsie i klucze dóbr Zamoyskich. W razie potrzeby owych kilkudziesięciu „dobrze urodzonych” stawiało się

na dworze, by w ten sposób podnieść prestiż swego chlebobdawcy. Na stały personel dworu składali się: marszałek (wzorem dworu królewskiego), zaufany sekretarz – powiernik sekretów chlebobdawcy – pisarze, dbający o zaopatrzenie szafarze, kredenserzy, piwnicznicy, pokojowi, a także medycy, muzycy, kucharze, pasztetnicy i inni pracownicy kuchenni oraz stajenni. Większość z nich – przynajmniej na podrzędnych stanowiskach – wywodziła się zapewne z mieszczaństwa lub włościan, ale ani magnatowi, ani im samym nie zależało na podkreśleniu tego faktu. Nawet pobieżna lektura *Liber generationis plebeanorum (Liber chamorum)* Waleriana Nekandy-Trepki potwierdza, że służba na dworze magnackim stanowiła wykorzystywaną nader często okazję do przekraczania – wydawałoby się nieprzekraczalnych – barier stanowych. Nie wszyscy spośród „funkcyjnych” musieli mieszkać przy swym panu, bowiem jedną z ważnych ról licznych w Rzeczypospolitej miast prywatnych była właśnie obsługa magnackich rezydencji. Zależność miasta od rezydencji podkreślano w kompozycji urbanistycznej, jak to miało miejsce w Białymstoku, znacznie mniejszej Rydzynie Sułkowskich, a wcześniej w Janowcu nad Wisłą należącym do Firlejów.

CENTRUM NA PERYFERIACH

Dbłość o reprezentację w epoce wczesnonowoczesnej nie dziwi – było to zjawisko typowe dla całej Europy. Wyjątkowa na tle ówczesnej, centralizującej się i rządzonej w coraz większym stopniu przez monarsze biurokracje, była społeczno-polityczna rola magnackich rezydencji Rzeczypospolitej. Brak zawodowego aparatu administracyjnego i stałego wojska powodował, że liczna szlachta – stanowiąca, wedle często przyjmowanego szacunku, aż 10 proc. populacji – nie miała możliwości kariery w strukturach państwa podległych bezpośrednio królowi. Zresztą król pozostawał dla większości symbolem, ojcem (czasem ojczymem) ojczyzny, rezydującym gdzieś daleko w Warszawie. Władzę realną w powiecie i województwie miał magnat. Często zresztą sprawował ją za zgodą samego monarchy. Jak wyznaje w testamencie politycznym kierowanym do syna hetman Stanisław Żółkiewski, nic tak nie podniosło jego prestiżu wśród szlachty województwa kijowskiego jak zgoda Zygmunta III, by wszystkie nominacje w województwie odbywały się za wiedzą i pośrednictwem hetmana. Tak więc tylko z poręki magnata można było zostać wybrany przez sejmikującą szlachtę na jeden z urzędów powiatowych, uzyskać poselski mandat będący wstępem do dalszej kariery, dostać jakąś dzierżawę, czy to w dobrach królewskich, czy prywatnych. Na to właśnie przede wszystkim, a nie na wypłacane w gotówce stawne, liczyli wspomniani przez Czernieckiego słudzy (zwani potocznie rękodajnymi) i komornicy. Układ wiązał obie strony: należało być zawsze na wezwania, wypadało od czasu do czasu pozyczyć jakąś mniejszą lub większą sumę chlebobdawcy, ale nade wszystko trzeba było być lojalnym na publicznym forum. Jak pisał kanclerz koronny Tomasz Zamoyski, syn wielkiego Jana, nie po to wspomaga się ludzi, by „marszczyli się” na swego chlebobdawcę na sejmikach.

Pałac w Baranowie Sandomierskim, fot. Wojciech Kalwat



Ewolucja ustrojowa Rzeczypospolitej poszła w kierunku przeciwnym do normy europejskiej: zamiast centralizacji – podboju prowincji przez centrum rękami monarszych urzędników i pod groźbą użycia sił zbrojnych (zwykle ich zresztą nie używano, ale wystarczyła groźba), w Rzeczypospolitej następowało obezwładnianie centrum przez prowincję. W warunkach obowiązywania *liberum veto* nie sposób było przeprowadzić żadnego śmielszego zamysłu reformatorskiego, łatwo zaś było go zniweczyć.

Magnateria zdawała sobie sprawę ze stopniowego, widocznego szczególnie po 1648 roku, upadku znaczenia Rzeczypospolitej. Świadczy o tym choćby reakcja kanclerza Wielkiego Księstwa Litewskiego Albrychta Stanisława Radziwiłła na zerwanie sejmu w 1652 roku przez stolnika upickiego Władysława Sicińskiego (*ja ganilem tego najgorszego z ludzi, który złodziejskim sposobem wyjeżdżając wystawił Rzeczpospolitą na pośmiewisko losu*). Rzecz jednak w tym, że ten skorzysta na udanych reformach, kto je przeprowadzi, a nigdy nie udało się – ani królowi, ani opozycji – dojść do porozumienia „ponad podziałami”. Zdając sobie sprawę z nadciągającej zguby, tkwiono w istniejącym systemie jak mysz zapatrzona w węża.

Status quo „srebrny” XVII stulecia historycy ze szkoły krakowskiej opisywali jako anarchię, która zgubiła ostatecznie szlachecką Rzeczpospolitą. Historycy szkoły warszawskiej skłonni byli jej skutki umniejszać, by w ten sposób nie rozgrzeszać dzieła zaborców, podjętego w chwili, gdy zdawało się, że Rzeczpospolita z upadku się podnosi. Wizja anarchii jako przyczyny upadku państwa przemawiała jednak silniej, stąd typowe dla historiografii polskiej potępienie działań możnowładztwa zmierzających do osłabienia władzy centralnej, i to niezależnie od epoki, o której się pisze.

Warto zrewidować pojęcia powszechnie używane dla opisu ustroju szlacheckiej Rzeczypospolitej. Wedle nich

demokracja szlachecka połowy wieku XVI miała być zastąpiona od początku lub od połowy XVII wieku oligarchią magnacką. Z porównania międzynarodowego (Wenecja, Szwecja lat 1634–1680, Dania przed 1660) wynika jednak, że oligarchia, by działać skutecznie, musi się poruszać w precyzyjnie określonych ramach instytucjonalnych, o jakich w szlacheckiej Rzeczypospolitej nie było mowy. Zamiast więc owej kulawej oligarchii należałoby ów ustrój określać raczej jako system patronatu magnackiego wpisany w *decorum* demokracji szlacheckiej.

Rzecz jasna, rok 1795 nie oznaczał końca rezydencji. Utraciwszy swe polityczne znaczenie, stały się one jednym ze sposobów demonstrowania pozycji społecznej właścicieli. Zniknęły tłumy rękodajnych i komorników, którzy szukać musieli protekcji gdzie indziej. Pozostały rozrywki właściwe klasie wyższej (polowania), silne przekonanie o przewodniej roli w społeczeństwie i stopniowo coraz trudniejsze wiązanie ziemiańskiego końca z końcem w epoce żniwiarek McCormicka i taniego zboża z importu. Radzono sobie z tym lepiej lub gorzej, czasem prowadząc rozsądną politykę uprzemysławiania majątków, czasem rabunkowo wycinając lasy. Dawna wielkość przeminęła bezpowrotnie. Dramatycznym – choć oczywiście nietypowym – przejawem tych przemian jest wysadzenie w powietrze w roku 1816 roku siedemnastowiecznego zamku w Ossolinie (wybudowanego przez kanclerza koronnego Jerzego Ossolińskiego) i pozbawienie miejscowości praw miejskich przez jego ówczesnego posiadacza, byłego posła na Sejm Czteroletni i zwolennika reform konstytucyjnych, Antoniego Bartłomieja Ledóchowskiego – *by synów mu w pyszność nie ubijał*. Gruzy po zamku pozostałe zużyli w 1944 roku żołnierze Armii Czerwonej do umacniania przyczółka warecko-magnuszewskiego. □

Manieryzm, czyli prawie barok

Za panowania Zygmunta III do Polski dotarł styl barokowy. Najpierw przyjął się w budownictwie sakralnym, później też i w świeckim. Mimo to jeszcze długo budowało się na renesansową modłę, zwłaszcza w jej manierystycznym wydaniu.

By się przekonać, jak wyglądał polski manieryzm, najlepiej zajrzeć do Kazimierza Dolnego. Miasto to korzystało z koniunktury na zboże i inne płody rolne wyprodukowane w polskich folwarkach. Strumień pieniędzy płynący z zyskownego handlu wiślanego szedł także na inwestycje budowlane. Powstało wówczas wiele ładnych i funkcjonalnych spichrzy, w których magazynowano zboże przed spławem do Gdańska. O wielkości tego przedsięwzięcia może świadczyć fakt, że było ich około pół setki. Prócz spichrzy widowym znakiem *prosperity* niedużego przecież miasta są budowle sakralne, ze wspaniałą farą na czele, i mieszczańskie kamienice. W mieście lub w bezpośredniej bliskości działali tacy artyści, jak: Santi Gucci, Piotr Likkel czy Jakub Balin.

Spośród zabytków miasta wyróżnia się fara św. Jana Chrzciciela i św. Bartłomieja. Po pożarach, które ją zniszczyły w drugiej połowie XVI wieku, odbudowy podjął się w latach 1608–1610 lub w 1613 mieszkający w Lublinie Włoch Jakub Balin. Podwyższono wówczas nawy oraz wybudowano nowe prezbiterium. Prace murarskie Balina nadały wnętrzu współczesny wygląd. Są to przede wszystkim bardzo charakterystyczne geometryczne dekoracje sztukateryjne kolebkowego sklepienia: krzyże, gwiazdy, trójkąty, wieloboki, serca i rozetki. Dekoracje te często kojarzą się ze świętecznymi piernikami. Podobne motywy można zobaczyć także w świątyniach w Lublinie, Zamościu czy Janowcu. W historii sztuki określa się je jako typ kalisko-lubelski.

Kazimierska fara na początku XVII wieku otrzymała ozdobne szczyty, wschodni i zachodni, o stosunkowo płaskich podziałach. Jest ich dziesięć, co może nawiązywać do dekalogu. Choć ciekawsza jest inna interpretacja: szczyty mogą być odwzorowaniem egipskich znaków astronomicznych, które przypominają o upływie czasu. Tym samym wpisują się w nurt potrydenckiej symboliki – nieustannie przypominają o przemijaniu, tymczasowości i śmiertelności. Ich pierwowzorów można się doszukiwać bezpośrednio we Włoszech, gdzie w centrum placu przed Bazyliką św. Piotra w Rzymie w roku 1586 ustawiono oryginalny antyczny obelisk egipski. Symbolizuje on hołd składany Chrystusowi przez pogan.

Korpus świątyni z Kazimierza i prezbiterium sklepione są kolebką z lunetami, a architektura belkowania oparta jest na wzorniku włoskiego architekta Sebastiana Serlia z połowy XVI wieku. W ołtarzu głównym umieszczony był pierwotnie obraz Trójcy Świętej, który obejrzeć można w zakrystii, dokąd z prezbiterium wiedzie barokowy portal z marmuru. O ówczesnych gustach świadczą kaplice, bogate wyposażenie, późnorenesansowe epitafia proboszczów kościoła farnego oraz popiersie Mikołaja Przybyły. W świątyni znajduje się jeszcze inna perła sztuki, jaką są jedne z najstarszych organów, wykonane w 1620 roku. Ich modrzewiowa rzeźbiona oprawa (tzw. prospekt) jest przykładem

Kamienica Celejowska w Kazimierzu Dolnym, dziś siedziba oddziału Muzeum Nadwiślańskiego, fot. Wojciech Kalwat





Wnętrze fary w Kazimierzu Dolnym, fot. Wojciech Kalwat

wielkiego kunsztu snycerskiego (czyli rzeźbiarskiego) inspirowanego sztuką flamandzką. Same organy są prawdopodobnie dziełem kazimierskiego mistrza Szymona Liliusza. Bogate zdobienia powstały zapewne w Toruniu lub Gdańsku, a do kościoła sprowadził je Jakub Balin.

ZADZIWIAJĄCE KAMIENICE

Kazimierscy mieszczenie zadbali, by jak najbardziej okazałe wyglądały ich siedziby. W mieście powstało wiele nowych kamienic, z których dwie, doprawdy wyjątkowe, znajdują się we wschodniej pierzei rynku. Zwane są kamienicami Przybyłów. Wzniesli je ok. 1615 roku bracia Mikołaj i Krzysztof Przybyłowie. Te bliźniacze piętrowe kamienice są jednakowej wysokości; ich attyki przewyższają wysokość kondygnacji. Fasady są w zasadzie płaskie, ale prawie w całości pokryte różnorodnymi zdobieniami wykonanymi z narzuconej na mur zaprawy murarskiej. Stojąc przed kamienicami, trudno skupić wzrok na jednym elemencie. Zdaje się, że jest to bezładny i przypadkowy zbiór zdobień architektonicznych i geometrycznych figur, gzymsów, pilastrów, boniowań i kartuszy, motywów roślinnych, mniej lub bardziej fantastycznych wyobrażeń zwierząt i ludzi, a także ułożonych w sentencje napisów i symboli religijnych. Odnosi się wrażenie, że głównym motywem, który przyświecał twórcom kamienic, jest strach przed pustką (*horror vacui*). Dlatego każda wolna przestrzeń została skrupulatnie zapełniona. I choć obawie przed pozostawieniem wolnego miejsca trudno zaprzeczyć, to należy przyznać, że to, co znalazło się na fasadach budynków, nie jest przypadkowe, ale stanowi dokładnie przemyślane założenie.

Zacznijmy od nazw – kamienica św. Mikołaja i kamienica św. Krzysztofa, które wzięły się od świętych patronów obydwu braci. Ich wyobrażenia dominują wśród innych.

Dodanie do nich całkiem sporej liczby świętych dowodzi przywiązania do religii, a ukazanie fantastycznych zwierząt oraz antycznych sentencji modnego wówczas Seneki świadczy o szerokich horyzontach i wykształceniu ich twórców, a zapewne także samych braci Przybyłów. Frontony kamienic – zapewne dla efektu polichromowanych – można interpretować jako wielkie reklamy ich właścicieli, którzy, wyjaśniając zawiłość ornamentów i ukrytych znaczeń, mogli się popisać swoją rozległą wiedzą.

Dekoracje kamienic Przybyłów nie stanowią może przykładów sztuki, którą zaliczylibyśmy do europejskiej ekstraklasy tego czasu. Mimo widocznych wpływów włoskich i niderlandzkich oraz modnych odwołań rażą swoją naiwnością i prowincjonalizmem. Są jednak jednym z najoryginalniejszych przykładów mieszczańskiej, czy ogólnej mówiąc: polskiej, sztuki tamtych czasów. Te „typowo polskie” przykłady budownictwa nieprzypadkowo stały się wzorem dla monumentalnej architektury okresu stalinowskiego. Ale pozostaje się zastanowić, czy to, co obecnie widzimy, jest faktycznie wytworem nowożytnych kamieniarzy. Należy przypuszczać, że tylko częściowo. W nadaniu wyglądu postaciom, zwierzętom i ornamentom swój udział mieli nie tylko twórcy kamienic, ale też liczni konserwatorzy i domorośli poprawiacze, którzy „łagodzą” wizerunki, nadając im zapewne coraz bardziej naiwny wygląd.

Jest w Kazimierzu Dolnym jeszcze jedna kamienica, którą wskazuje się w każdym podręczniku do historii sztuki. To kamienica Bartłomieja Celeja, zięcia Mikołaja Przybyły. Jest ona o ok. 20 lat młodszą od kamienic braci i przez wielu uważana za ładniejszą. Oczywiście to kwestia gustu. Przyznać jednak trzeba, że dom Celeja sprawia wrażenie bardziej uporządkowanego stylowo, wręcz eleganckiego i symetrycznego. Fasada jest dużo uboższa w ozdoby, ale najbardziej rzuca się w oczy dominująca, rozedrgana, pierzasta attyka z figurami Chrystusa i Maryi, świętych Bartłomieja i Jana, którym towarzyszą gryfy, smoki i bazyliuszki. Attyka nie przytłacza jednak wielkością i wyglądem kamienicy, jak to ma miejsce w przypadku kamienic Przybyłów.

MANIERYZM PO DRUGIEJ STRONIE WISŁY

W nieodległym od Kazimierza Dolnego Gołębiu wznosi się kościół św. Floriana i św. Katarzyny. Został wybudowany w latach 1628–1631 przez ówczesnego proboszcza ks. Szymona Grzybowskiego przy wsparciu Jerzego Ossolińskiego. Renesansowo-manierystyczne wnętrze świątyni daje złudzenie trójnawowej bazyliki, choć jest to budowla jednonawowa. Wrażenie naw bocznych tworzą głębokie arkady. Świątynia, niegdyś o charakterze obronnym, stanowi oryginalny przykład łączenia mód, stylów i materiałów budowlanych. Intryguje zwłaszcza jaskrawa cegła ścian oraz kamieniarka okienna i drzewiowa z elementami stiuku. W gołębskim kościele widać wpływy włoskie, niderlandzkie, a także kazimiersko-lubelskie.

Obok świątyni wznosi się jeszcze inny zabytek: najstarszy na ziemiach polskich Domek Loretański. Został on ufundowany przez ks. Szymona Grzybowskiego, który, będąc

dziekanem kazimierskim, odbył pielgrzymkę do Loreto. Fundusze na budowę pochodziły z dóbr i dziesięcin parafii oraz darowizn. Za jednego z głównych fundatorów uważany jest starosta gołębski Jerzy Ossoliński, który w roku 1633 również odbył pielgrzymkę do Loreto. Ślubował wówczas wystawienie Domu Loretańskiego w Gołębiu. Przywiózł nawet model budynku, który został dosyć swobodnie odтворzony przez miejscowego mistrza Piotra.

BAROK W KRAKOWIE

Jednym z pierwszych prawdziwie barokowych zabytków na terenie Rzeczypospolitej jest kolegiata w Nieświeżu. Na zlecenie Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła „Sierotki” wznosił ją znakomity architekt Giovanni Maria Bernardoni. Co ciekawe, nieświeżką świątynię wybudowano na wzór dopiero co postawionego rzymskiego kościoła Il Gesù – pierwowzoru wszystkich barokowych budowli. My jednak opiszemy inny przykład początków świątyń barokowych w Polsce – krakowski kościół św. Piotra i Pawła.

Został on wzniesiony w latach 1597–1635 dla sprowadzonego wówczas do miasta zakonu jezuitów. Plan kościoła przypisywany jest Giovanniemu de Rossi, a ostateczny kształt nadał mu Giovanni Trevano, który jest autorem fasady, kopuły i wystroju wnętrza. Ogrodzenie z rzeźbami apostołów pochodzi z XVIII wieku i zostało zaprojektowane przez Kacpra Bażankę. Dwukondygnacyjna fasada, która stała się wzorem dla innych kościołów na terenie Rzeczypospolitej, została wykonana z dolomitu. Sposobem aranżacji przypomina rzymski kościół Santa Susana Carla Maderny, a także macierzystą świątynię jezuicką Il Gesù w Rzymie. W jej niszach znajdują się posągi świętych tego zgromadzenia: św. Ignacego Loyoli, św. Franciszka Ksawerego, św. Alojzego Gonzagi oraz św. Stanisława Kostki. Wszystkie wykonał Dawid Heel. Nad portalem głównym widnieje godło zakonu jezuitów, w górnej zaś kondygnacji św. Zygmunt i św. Władysław.

We wnętrzu uwagę zwraca przede wszystkim bogata dekoracja stiukowa, którą wykonał Giovanni Battista Falconi. W apsydzie prezbiterium są to sceny z życia św. Piotra i Pawła oraz posągi patronów Polski: św. Wojciecha i św. Stanisława. W nawach bocznych pojawiają się putta, czyli pulchne amorki, wplecione w ornamentalne kompozycje i plafony. W bębnie kopuły w niszach umieszczono złożone posągi czterech ewangelistów, także dzieło Falconiego. W podziemiach znajduje się również grobowiec ks. Piotra Skargi, jezuita, nadwornego kaznodziei królewskiego, którego, jak głosi legenda, pochowano jeszcze za życia.

O NOWEJ STOLICY

Z rozwojem i przebudową miast wiązała się także potrzeba konkretnych zmian. Najlepszym tego przykładem jest Warszawa. Nowa stolica, a właściwie miasto rezydencjonalne Jego Królewskiej Mości – bo tak oficjalnie określano Warszawę – bardziej przypominała prowincjonalne miasto niż ośrodek władzy potężnego i liczącego się kraju. Sygnałem do przebudowy i rozbudowy była przeróbka zamku królewskiego dokonywana przez włoskich architektów: Jana



Trevano i Matteo Castellego. Najpierw przebudowano królewskie apartamenty i część sejmową. Następnie dostawiono dwa nowe skrzydła, co pozwoliło zamknąć pięciobok budowli. Najbardziej imponującym elementem była ukończona w 1619 roku 60-metrowa Nowa Wieża Królewska, która akcentowała oś główną, z zegarem o połączonych wskazówkach i 13-metrową iglicą.

Z czasem Warszawa stawała się miastem coraz bardziej reprezentacyjnym. Za panowania Władysława IV wystawiono w niej pierwszy świecki pomnik w Polsce: kolumnę Zygmunta. W pierwotnej wersji Zygmunt III miał na niej siedzieć, jednak ostatecznie powstał okryty płaszczem z figurami świętych patronów. Był to strój, którego król nigdy nie nosił – pełnił on funkcje symboliczne. Podobnie jak krzyż i szabla oznaczające królewskie cnoty, ale będące też atrybutami niezależności państwa. Rzeźbę wykonał specjalnie w tym celu sprowadzony z Bolonii Clemente Molli. Kolumna Zygmunta miała być elementem planowanego przez Władysława forum Wazów. Miały się tam znaleźć także obelisk Władysława oraz łuk triumfalny. Co za tym idzie, Warszawa miała się stać drugim Rzymem, a obecne Krakowskie Przedmieście traktem triumfalnym. Ciekawe. Jednak pomysł wystawienia kolumny tak zirytował zakon bernardynów, którego siedziba mieściła się przy zamku, że wystawili kolumnę Najświętszej Marii Pannie. Mniejszą zdecydowanie, by podkreślić, jak bardzo, ich zdaniem, król się wywyższył. □

BARTELOMIEJ GUTOWSKI, historyk, pracuje w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

WOJCIECH KALWAT, historyk, redaktor Magazynu Historycznego „Mówią wieki”

Barok w kuchni

– tajemnice najstarszej polskiej książki kucharskiej

W 1682 roku w Krakowie wydano *Compendium ferculorum albo zebranie potraw*, najstarszą polską książkę kucharską. Jej autorem był Stanisław Czerniecki, kuchmistrz wojewody krakowskiego Michała Aleksandra Lubomirskiego. Czytając dziś to niezwykle dzieło przedstawiające zapomniane już dania, mamy wrażenie, że opisuje ono kuchnię barokową. Język przepisów, wyszukana konstrukcja książki i panegiryczny styl dedykacji sprawiają, że może nam się kojarzyć z barokową literaturą.

Czy jednak jedzenie też może być barokowe? Czy w ogóle ma swój styl tak jak literatura i sztuka? Czy taki kulinarny styl może być porównywany z dziełami sztuki i tekstami literackimi? Gdy wczytamy się w dzieło kuchmistrza Lubomirskich, znajdziemy w nim przejawy nieskrywanej dumy kuchmistrza, który uważał się za twórcę, pisarza i artystę. Kuchnia może być sztuką. Ale może być też jedynie rzemiosłem, a dzisiaj często jest już tylko przemysłem, dostarczającym produktu masowego i bez wyrazu.

Próbując zastosować pojęcie stylu barokowego do kuchni, myślimy najczęściej o zdobieniu potraw, kolorach oraz wyszukanej formie dań, z których tworzono skomplikowane konstrukcje i prawdziwe dzieła plastyczne. Zwracano uwagę na oprawę magnackich i szlacheckich uczt, widziano w nich widowisko, formę barokowego teatru. Jednocześnie komentatorzy dzieła Czernieckiego zwracali uwagę przede wszystkim na potrawy żarty, specyficzne barokowe koncepty, które miały bawić i zadziwiać. Czerniecki opisuje trzy takie dania: kapłona we flaszy, podanego w całości szczupaka, którego część była upieczona, część ugotowana, a część usmażona, oraz rosół z perłami. Te dania symbole to najbardziej znane potrawy z najstarszej książki kucharskiej. Mickiewicz ze *Szczuki jednej całkiem nierozdzielnej* stworzył nawet w *Panu Tadeuszu* symbol dawnej kultury szlacheckiej.

Tymczasem te uznawane za sarmackie, rubaszne i typowe dla polskiej szlachty kulinarne żarty znane są z wielu książek kucharskich i przepisów popularnych w całej Europie. Wcale nie są czymś specyficznie polskim czy wyjątkowym. Niektóre z nich (Mickiewiczowski niekrojony szczupak) są znane od średniowiecza.

Dla stylu kuchni wygląd dań nie jest najważniejszy. Najistotniejszy jest smak potraw, który decyduje o tym, które z nich są bardziej wartościowe od innych. Smak barokowy jest kontynuacją tzw. kuchni gotyckiej i żywieniowych fascynacji epoki odrodzenia. Zamiłowanie do ostrych

egzotycznych przypraw oraz oparcie estetyki kulinarnej na zasadzie kontrastu to zasady znane już w starożytności. W kuchni schyłku XVI i XVII wieku uczyniono jednak z nich podstawę dobrego smaku. Jedzenie naprawdę dobre to dania, których smak jest tak zmieniony, że jedzącemu właściwie trudno go rozpoznać. Barokowy smakosz był ciągle zaskakiwany, potrawa stawała się zagadką, a zmysły, nie tylko smaku, czuły się zagubione, poddawały się iluzji.

Kucharze w krajach katolickich chętnie sięgali po efekt iluzji, przygotowując np. ryby w formie kielbas, pasztetów albo robiąc z rybnej siekanki „cielęciny”, łudząco podobną w smaku i wyglądzie do prawdziwego mięsa cielęcego. Pobożny smakosz wiedział, że przestrzega postu, ale jego zmysły napawały się smakiem i wyglądem mięsa. Czy to był jeszcze post?

Dla przykładu zamieszczamy przepis Czernieckiego na łososia. Potrawy z ryb były specjalnością polskich kucharzy, przestrzegających surowego, słynnego w całej Europie postu. Ryba była podana w żółtym sosie, w którym smak ostrych egzotycznych przypraw mieszał się z kwasem i słodyczami. Na pewno nie był smakiem ryby. Czy dziś jesteśmy w stanie wrócić do tej kulinarnej tradycji?

ŁOSOŚ ŻÓŁTO PO KRÓLEWSKU ALBO [W] DOBREJ JUSZE

Weźmij łososia, oczesz, zrysuj, grzbiet wyjmij, dzwona na szpilki włóż, pietruszki w kostkę i wzdłuż nakraj, wstaw w kotle zasoliwszy dobrze. A gdy dowiera, zdejmij z ognia, tę polewkę odlej osobno, co łosoś wrzał, przelej wodą, żebyś sól splókał. A gdy masz dawać, wlej gąszcz, jaki masz, wlej wina, octu winnego trochę, cukru według smaku, pieprzu, szafranu, cynamonu, rożenków wielkich, limonij w talarki. Przywarzaj, a kosztuj, a jeżeli trzeba przydać soli, tedy onej polewki, w której wrzał łosoś, przylewaj według smaku.

Tak gotuj sztukę główną, czeczugę, jesiotra, wyżę świeżego i co chcesz. □

Sanktuaria

Okres kontrreformacji to czas krystalizowania się polskiego katolicyzmu. Wzmoczona religijność szła w parze z fundacjami kościołów i klasztorów, a także rozwojem dewocji i ascezy – niekiedy surowej i perwersyjnej.

Kwitł kult świętych, cudownych relikwii, miejsc i przedmiotów. Wiele wysiłku i funduszy łożono na odpowiednią oprawę świąt i uroczystości poświęconych świętym i błogosławionym. Szczególną estymą darzono święte obrazy, zwłaszcza maryjne, które słynęły licznymi cudami, miały uzdrawiać, chronić przed chorobami, zarazami i zapobiegać nieszczęściom. Wierni mogli się odwdziżyć za doznaną lub spodziewaną łaskę, ofiarowując różnorakie wota, które umieszczano w pobliżu cudownych przedmiotów i relikwii. Na ołtarze wędrowały plakietki z cennych kruszców i biżuteria, do skarbców zaś pieniądze oraz dary o wielkiej wartości materialnej lub symbolicznej. Na takie mogły liczyć tylko niektóre sanktuaria, jak chociażby to w Częstochowie. Jasnogórski klasztor w drugiej połowie XVI stulecia zyskał rangę najważniejszego sanktuarium Polski. Podniósł ją fakt, że oparł się szwedzkiej potędze. Umiejętnie wykorzystał go Augustyn Kordecki, który w *Nowej Gigantomachii* dowodził, że skuteczny opór był możliwy dzięki wstawiennictwu Matki Boskiej. Zaowocowało to hojnością wiernych, i tak przecież wcześniej sporą. Do skarbcza jasnogórskiego trafiały wyroby o najwyższym poziomie artystycznym i wartości materialnej. Uznanie dla cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej spowodowało, że został uznany za *palladium patriae*. Wykształcił się zwyczaj, że jasnogórskiej Maryi ofiarowywano ślubne szaty królewskie i wojenne trofea.

Sanktuaria maryjne dominowały w krajobrazie kulturowym i religijnym Rzeczypospolitej. Niektóre posiadały starszą proveniencję, inne były całkiem młode. Nie zawsze powstawały w sposób, który można nazwać uczciwym. Słynna i awanturnicza zarazem była sprawa powstania sanktuarium kodeńskiego na Podlasiu. Chorąży litewski Mikołaj Sapieha podczas pobytu we Włoszech wykradł obraz Matki Boskiej z Guadalupe i potajemnie przywiózł go do Polski. Po wielu perturbacjach magnat uzyskał

zgodę, by umieścić go w kościele w Kodniu. Obraz

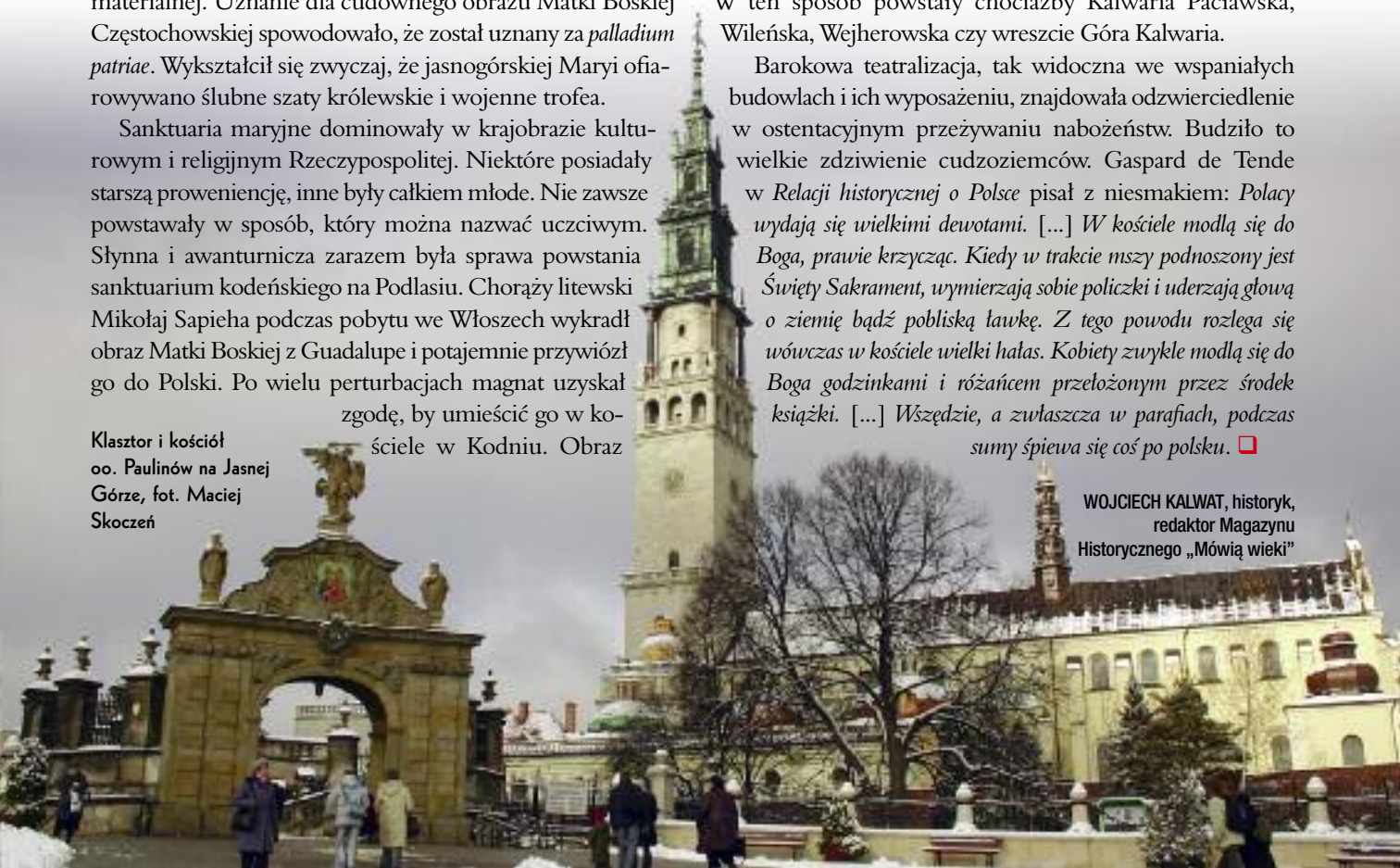
Klasztor i kościół oo. Paulinów na Jasnej Górze, fot. Maciej Skoczeń

został ukoronowany w 1723 roku jako jeden z pierwszych, po koronacji Marki Boskiej Częstochowskiej i Trockiej.

Do sanktuariów, zwłaszcza tych słynących cudami, ściągali rzesze pątników różnych stanów, od wielkich magnatów po biednych chłopów i licznych włóczęgów, a także awanturników i oszustów wszelkiej maści. Pielgrzymowano głównie w celach religijnych, pokutnych, ale wielu ruszało w daleki świat wiedzionych ciekawością i chęcią przeżycia przygody. Prócz ośrodków maryjnych intensywnie pielgrzymowano do miejsc nawiązujących do męki Pańskiej. Nadal sławą cieszył się benedyktyński klasztor na Łysej Górze, słynący z relikwii drzewa Krzyża Świętego, ale od XVI stulecia coraz popularniejsze stawały się kalwarie. Pierwsza powstała staraniem Mikołaja Zebrzydowskiego i jego syna Jana. Była to Kalwaria Zebrzydowska, „Nowa Jerozolima”, zespół rozrzuconych w terenie ścieżek i niepowtarzalnych kształtem kaplic, które upamiętniały kolejne etapy męki Chrystusa, a także sceny z życia Maryi i niektórych świętych. Mikołaj i Jan ufundowali także klasztor Bernardynów. Rozległe i efektowne założenie odpowiadało pełnej teatralizacji barokowej liturgii. W ślady Zebrzydowskich, choć z nie tak spektakularnym skutkiem, ruszyli inni magnaci. W ten sposób powstały chociażby Kalwaria Pałacowska, Wileńska, Wejherowska czy wreszcie Góra Kalwaria.

Barokowa teatralizacja, tak widoczna we wspaniałych budowlach i ich wyposażeniu, znajdowała odzwierciedlenie w ostantacyjnym przeżywaniu nabożeństw. Budziło to wielkie zdziwienie cudzoziemców. Gaspard de Tende w *Relacji historycznej o Polsce* pisał z niesmakiem: *Polacy wydają się wielkimi dewotami. [...] W kościele modlą się do Boga, prawie krzycząc. Kiedy w trakcie mszy podnoszony jest Święty Sakrament, wymierzają sobie policzki i uderzają głową o ziemię bądź pobliską ławkę. Z tego powodu rozlega się wówczas w kościele wielki hałas. Kobiety zwykle modlą się do Boga godzinkami i różańcem przelożonym przez środek książki. [...] Wszędzie, a zwłaszcza w parafiach, podczas sumy śpiewa się coś po polsku.* □

WOJCIECH KALWAT, historyk, redaktor Magazynu Historycznego „Mówią wieki”



Panowie kontuszowi

Polski ubiór męski najbardziej charakterystyczną formę zyskał w XVII wieku. Wtedy przeżywał swój rozkwit i stał się symbolem panujących w Rzeczypospolitej republikańskich tradycji oraz złotej wolności.

Szlachta, która miała – przynajmniej teoretycznie – pozycję równą największym panom oraz wpływ na wybór króla, chętnie przywdziewała karmazynowe i szkarłatne stroje. Były to barwy od czasów antycznych symbolizujące bogactwo, dostojność oraz męstwo wojenne, przysługujące panującym, a także zwyciężskim wodzom. Teraz podkreślały one równość wszystkich w obrębie stanu szlacheckiego oraz cnoty rycerskie. Dlatego najchętniej portretowano się w reprezentacyjnym stroju, składającym się z czerwonego żupana przepasanego czerwonym materiałowym pasem i czerwonej delii.

Natomiast wykończony koronkami, krótki i dopasowany męski strój zachodnioeuropejski uważano za przejaw zniechęcenia i wytwór monarchii absolutnej. Dlatego noszących go władców nie szanowano i posądzano o chęć ograniczenia swobód obywatelskich. Niechęć ta szczególnie uwidoczniła się za panowania preferującego ubiór hiszpańsko-niemiecki Zygmunta III Wazy, który dążył do wzmocnienia władzy królewskiej kosztem przywilejów stanowych. Dlatego także upodobanie monarchy do mody zachodniej budziło dezaprobatę. Konflikt między poddanymi a władcą, którego apogeum stanowił rokosz Zebrzydowskiego w 1607 roku, określano nawet jako wojnę szlacheckiej czupryny z *pontą*, czyli krótką, kozią bródką. Przegrana króla odbiła się i na modzie, a polscy Wazowie, by przypodobać się herbowemu, zakładali strój polski. Choć trzeba przyznać, że okazjonalnie. Najchętniej, zwłaszcza w młodości, przywdziewał go królewicz Władysław, ale jako król Władysław IV nosił się z cu-



Daniel Schultz, portret
Jana Kazimierza Wazy,
fot. archiwum „Mówią wieki”

dzoiemska. Z kolei Jan Kazimierz na spektakularne przywdzianie rodzimego ubioru zdecydował się po wybuchu powstania Chmielnickiego.

ORIENTALIZACJA MODY

Na wiek XVII, czasy licznych wojen z Turkami, ale też intensywnej wymiany handlowej ze Wschodem, przypadło w polskiej kulturze apogeum wpływów orientalnych. Również w modzie męskiej. Na specjalne okazje Polacy nosili perskie czy tureckie materie o bogatej ornamentyce, nieraz przetykane złotem lub srebrem. Pod koniec drugiej ćwierci stulecia również fason ubioru polskiego zyskał charakter bliższy modzie tureckiej – preferowano szaty dłuższe i obszerniejsze. Bardzo obcisły górą do tej pory żupan z wąskimi rękawami uległ poszerzeniu na piersiach i w ramionach, a jego poły stały się bardziej fałdziste. Wrażenie sutości potęgowały szerokie górą rękawy, które mocno zwężyły się od łokcia. Niski na początku XVII wieku kołnierzyk stójka w latach czterdziestych tego stulecia zaczął sięgać aż po podbródek, a brzegi żupana zdobiło obszycie z jedwabnego lub metalowego sznureczka, który tworzył też pętelki do guzów.

Delia i ferezja w drugiej ćwierci XVII stulecia zaczęły zyskiwać coraz bardziej odświętny i reprezentacyjny charakter. Natomiast w modzie codziennej pojawiło się praktyczniejsze okrycie wierzchnie, jakim był kontusz. Zawdzięcza on swą nazwę tureckiemu spodniemu kaftanowi nazywanemu *kontos*. Początkowo nie miał on rozcinanych, dekoracyjnie zwisających rękawów – dziś kojarzonych z tym ubiorem – i często był podbijany futrem. W modę zaczęły też wchodzić szerokie tureckie szarawary zawiązywane w talii na jedwabny pasek, tzw. *ukczur*. Obie te części garderoby upowszechniły się już w drugiej połowie stulecia.

FRANCUSKA MODA KOBIECI

Orientalizacja nie znalazła natomiast odzwierciedlenia w stroju kobiecym. Polki, w przeciwieństwie do swoich mężów, pozostały wierne modzie zachodniej. W pierwszej ćwierci stulecia nadal jednak nosiły stożkowate spódnice i dopasowane staniki z wąskimi rękawami, stanowiące uproszczoną i zapóźnioną wersję szesnastowiecznej mody hiszpańskiej. Uzupełniały je ciepłe, podbite futrem okrycia wierzchnie o rodzimym charakterze, a także futrzane kołpaki (teraz niskie z szeroką futrzaną opuszką, przypominające olbrzymi bochen chleba). Ze stroju męzatek



Justus van Egmont, portret Marii Ludwiki Gonzagi, fot. archiwum „Mówią wieki”

zaczęły natomiast znikać długie rańtuchy, zastępowane nakładanymi na czepec krótkimi nakrochmalonymi chustami noszonymi wraz z podwiką osłaniającą szyję. Dopiero w latach trzydziestych i czterdziestych XVII wieku zaczęła się u nas przyjmować moda francuska, choć docierała nad Wisłę z około piętnastoletnim opóźnieniem. Dopiero przybycie do Polski francuskiej małżonki Władysława IV Ludwiki Marii Gonzagi wraz z fraucymerem w 1646 roku przyśpieszyło proces upowszechniania się w Polsce francuskich nowinek. □

ANNA STRASZEWSKA, historyk sztuki, kostiumolog, pracuje w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie

Sarmata w podróży

Podróże w dawnych wiekach nie należały do przedsięwzięć łatwych, tanich ani w wielu wypadkach przyjemnych. Doskwierały zwłaszcza trudy jazdy niezbyt wygodnymi kolasami (później karocami), a także koszty, jakie trzeba było przy tym ponosić.

Kosztowały stacje, karczmy i popasy. Sporym wydatkiem było także wyżywienie siebie, służby i licznych koni, i to mimo że starano się zabierać ze sobą maksymalnie dużo jedzenia i paszy dla zwierząt. Szlachta, zwłaszcza ta dysponująca środkami finansowymi, jeździła pod lada jakim pretekstem: w interesach, sprawach majątkowych i rodzinnych, w celach pielgrzymkowych. I to niekiedy wcale daleko, jak Mikołaj Krzysztof Radziwiłł „Sierotka”, który zawędrował aż do Ziemi Świętej. Podróżowano na różnorakie zjazdy rodzinne, sąsiedzkie czy polityczne, takie jak liczne sejmiki, trybunały czy sejmy. Okazją do zobaczenia świata były wyprawy wojenne, misje urzędnicze czy dyplomatyczne, a także wcale liczne wśród zamożnych wyprawy po wiedzę na zagraniczne sławne uczelnie. Z czasem zmienił się charakter tych wyjazdów z naukowych na poznawcze.

Jeżeli to było możliwe, podróżowano rojno i gwarno. Liczne były zwłaszcza orszaki wielkich panów; liczyła się wszak odpowiednia asysta dodająca magnatowi poważania, ale i zapewniająca bezpieczeństwo. Nierzadkie były wypadki, kiedy magnatowi towarzyszyło w podróży do tysiąca służby, żołnierzy, urzędników, dworaków i innych osób. Przejazd tak wielkiej karawany ludzi, zwierząt i pojazdów stanowił prawdziwe wyzwanie dla polskich słabych dróg, nie mówiąc już o przyprawiających podróżnych o trwogę litewskich bezdrożach. Często przeszkodą nie lada okazywała się rzeka, przez którą przeprawiano się brodem, bo, jak stwierdził Ulryk Werdum, *mosty w Polsce nic nie wartę*. W takich warunkach trudno było o komfort podróżowania. Na wądołach nie tylko trzęsły się ciała podróżnych, ale też łamały osie wozów, trzaskały koła, łamały się dyszle. Dlatego w pobliżu większych traktów nie brakowało kowalskich warsztatów, a i bezpieczniej było wieźć ze sobą kowala i stelmacha.

Trakty drożne były trudne do przebycia po zimowych roztopach i jesiennych deszczach. Latem we znaki dawał się potężny kurz. Nic więc dziwnego, że chwalono sobie podróże zimą, kiedy mróz skuwał lodem rzeki i rozmiękłe gościńce.

Przy głównych gościńcach funkcjonowały zajezdne karczmy, ale próżno było w nich szukać wygód porównywalnych do tych, które oferowały zajazdy niemieckie, niderlandzkie, francuskie, by nie wspomnieć o doskonałych angielskich. W polskich karczmach często nie było nawet łóżek i pościeli, którą najlepiej było wozić ze sobą, a szpetne ściany ozdabiać własnymi kobiercami. Duszne izby karczemne, w których unosiły się roje much i insektów, nie zachęcały do noclegu. Miały wszakże jedną zaletę – były tanie. Możliwszym to nie przekonywało. Woleli stawać na popas u znajomych magnatów czy w szlacheckich dworakach i plebańskich domach. Nie pobierano za to opłat, ale zwyczaj nakazywał pozostawienie stosownego prezentu. Nie gardzono noclegiem w podróżnym namiocie, a i przygodnej stodole, jak w przypadku Jana Sobieskiego i jego Marysieńki, traktujących te ostatnie jako miejsca miłosnych schadzek.

W kraju taniego jedzenia próżno było szukać odpowiedniego posiłku. Karczmy oferowały dania niewyszukane, zwłaszcza chleb i piwo, albo zgoła nic. Dlatego najbezpieczniej było wozić ze sobą kosze z żywnością oraz odpowiedni napitek.

Podróżnemu za to nie odmawiano pomocy w dworach. Goszczono tam przybysza, nieraz aż nazbyt wylewnie, jak skrętnie notowali cudzoziemcy. Niekiedy nadużywano zasady gościnności. *Gość nie w porę gorszy od Tatarzyna*, mawiano, i powtarzano sobie anegdotę o szlachcicu Sobieskim, który, nie mogąc się doczekać wyjazdu nieproszonego gościa i jego świty, po czterech dniach rzekł w końcu, że wyjeżdża. Natręt z niedowierzaniem odparł, że nie godzi się opuszczać domu, w którym przebywa gość. Rozeźlony gospodarz odrzekł wówczas: *Miłościwy Panie, ponieważ ode mnie z tą hordą nie chcecie jechać, pojedą ja do was!* To dopiero przekonało przybysza. Jednak zamki, dwory i dworki stały otworem przed podróżnymi. Wiedzano bowiem, iż nadejdzie taki czas, że i gospodarz stanie się w końcu gościem i będzie mógł skorzystać z rewanżu. □